



## WŁADYSŁAW FEJKIEL

Dnia 10 października 1946 r. w Krakowie. Sędzia śledczy Jan Sehn, działając na zasadzie dekretu z dnia 10 listopada 1945 r. (Dz.U. RP nr 51, poz. 293) o Głównej i Okręgowych Komisjach Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce, jako członek Głównej Komisji przesłuchał w trybie art. 255, w związku z art. 107 i 115 kodeksu postępowania karnego, niżej wymienioną osobę, która zeznała, co następuje:

---

Imię i nazwisko	Władysław Fejkiel
Wiek	34 lata
Imiona rodziców	Jan i Karolina
Zawód	lekarz
Wyznanie	rzymskokatolickie
Narodowość i przynależność państwowa	polska
Miejsce zamieszkania	Kraków, ul. Smoleńsk 1

---

W obozie oświęcimskim przebywałem w okresie od 8 października 1940 do 18 stycznia 1945 r. jako więzień nr 5647. Początkowo pracowałem na różnych komandach. W marcu 1941 r. z powodu zupełnego wyczerpania dostałem się jako muzułman do szpitala więziennego. Po przyjsciu do zdrowia latem 1941 r. objąłem funkcje sanitariusza (*Pflegera*). W tym czasie lekarzom więźniom zasadniczo nie wolno było pełnić funkcji lekarskich. W 1942 r. powierzono mi jako lekarzowi więźniowi prowadzenie bloku 20., który był blokiem zakaźnym. W styczniu 1944 r. zostałem starszym obozu szpitalnego (*Lagerältester Häftlings-Krankenbau*) obozu macierzystego w Oświęcimiu. Początkowo w 1940 r. blokami szpitalnymi były tylko parterowe bloki 20 i 21, później dobrano na ten cel blok 28, blok 19 – dla rekonwalescentów – oraz, w końcowym okresie istnienia obozu, także blok 9. W tym okresie, gdy szpital mieścił się tylko

w dwóch blokach, stan więźniów wynosił około 5 tys., z czego około tysiąca było chorych z powodu zupełnego wyczerpania i bicia. Nie było jeszcze wówczas chorób zakaźnych, a większość więźniów stanowili ludzie młodzi i silni. Po krótkim pobycie w obozie, najwyżej po trzech miesiącach, ludzie ci charłaczeli. Ja sam po czterech miesiącach pobytu w obozie spadłem z 75 kg (waga przy przyjsciu do obozu) do 41 kg. Chorych stłaczano po kilku na jednym sienniku, dochodziło do tego, że na jednym leżało nawet pięciu, bez względu na choroby, którymi byli dotknięci. Żywieni byli gorzej niż chorzy pracujący. Wydzielane dla szpitala dawki leków miały znaczenie symboliczne. Dla bloku, na którym leżało 400 chorych na biegunkę (*Durchfall*), otrzymywałem 30 kropli nasercowych leków oraz 20 tabletek węgla. Leki te miały mi wystarczyć dla wszystkich chorych na jeden dzień. Zaznaczam, że np. dawka dzienna węgla dla jednego chorego wynosi 10 tabletek po pół grama. W początkowym okresie szpital nie posiadał żadnych narzędzi. Kilka skradzionych noży, pęset i kocherów stanowiło cały zestaw, którym lekarze więźniowie po kryjomu dokonywali najcięższych zabiegów operacyjnych. Pod koniec roku 1941 młody lekarz SS, dr. Entress, chcąc uczyć się chirurgii, zorganizował salę operacyjną. Wyposażenie jej było prymitywne, ale dostateczne. Później zaopatrzyliśmy się w odpowiednie przyrządy, pochodzące z zapasów zwożonych do obozu przez ludzi, którzy wprost z rampy szli do gazu. Bloków szpitalnych nie wyposażyli Niemcy w żadne urządzenia sanitarne i higieniczne. Zrobiliśmy to sami, kradnąc potrzebne do tego materiały. Przy pomocy tych materiałów urządziliśmy łaźnie, prysznicze, instalacje kanałowe. W tym pierwszym okresie szpital nie służył celom leczniczym. Była to zbiornica ludzi umierających i umarłych, a zarazem instytucja mająca na celu wystawianie fikcyjnych historii chorób i zaświadczeń o śmierci. Stan ten zmienił się dopiero wiosną 1942 r., moim zdaniem w związku z zapotrzebowaniem na siłę roboczą dla niemieckiego przemysłu wojennego dla prowadzenia wojny totalnej. Wprowadzono wówczas oficjalnie pojęcie lekarza więźnia (*Häftlingsarzt*), zaczęto leczyć chorych rokujących szybki powrót do pracy, a niszczyć przy pomocy zastrzyków czy też gazowania chorych, którzy nie dawali nadziei szybkiego powrotu do zdrowia i do pracy. Oczyszczeniu obozu z elementu niezdadnego do pracy służyły wybiórki ludzi chorych, którzy wymagaliby dłuższego leczenia. Nazywało się to selekcjami. Oczywiście, nie kierowano się przy tym badaniami lekarskimi, po prostu wybierano w wielu wypadkach na oko. Ofiarą takich selekcji padali więc ludzie, którzy po dłuższym leczeniu wróciliby do zdrowia. W 1942 r. pod pozorem akcji zwalczania tyfusu kierownictwo obozu postanowiło zniszczyć roznosicieli tyfusu (wszy) wraz z chorymi. Wówczas to komendant obozu Höß przez swój oddział polityczny i lekarza SS wydał generalne upoważnienie do wyniszczenia wszystkich chorych, znajdujących się w szpitalu i personelu

szpitalnego. Z bloku zakaźnego wybrano wówczas około 800 chorych, których zagazowano. W szpitalu pozostali wówczas tylko ci chorzy, których wyłączył lekarz SS. Dla tego samego celu, to znaczy również dla pozbycia się chorych niezdatnych do pracy, wprowadzono w 1941 r. zabijanie ludzi przy pomocy zastrzyku trucizny. Metodę tę wypróbowano w lecie 1941 r. na kilku Polakach wybranych przez lekarza SS z bloków szpitalnych. Początkowo wstrzykiwano wodę utlenioną, benzynę, evipan i fenol, później stosowano wyłącznie fenol. W pierwszym okresie były to zastrzyki dożylny, a później dosercowe. Pierwsze próby szpilowania odbyły się na blokach 28 i 21, później przeniesiono akcję na blok 20. Po przeniesieniu akcji na blok 20 zabijano jeszcze przy pomocy zastrzyków w pewnych okresach w kostnicy (*Leichenhalle*) bloku 28. Na bloku 20 służyło do tego celu laboratorium, które mieściło się w pierwszej izbie na lewo od wejścia do bloku. Wybrani na zastrzyk czekali w salach chorych bloku 20, gdzie sprowadzano ich lub znoszono na noszach. Z sal przechodzili korytarzem za kotarę, którą korytarz był oddzielony. Za kotarę stało dwóch więźniów, którzy wprowadzali ofiarę do ambulatorium. Tam usadzano skazanego na śmierć na krześle, jeden z więźniów przytrzymywał siedzącego za ręce, przy czym jedną rękę układano w ten sposób, że zasłaniała ona oczy. Następnie sanitariusz (*Sanitätsdienstgehilfe* – SDG) Klehr względnie dobrani do tego celu jego pomocnicy Pańszczyk, Stössel, Szymkowiak, Landau dawali zastrzyk. Tych, którzy się opierali, SS-man Klehr bił i kopał. Był to alkoholik i gdy był w stanie podпиты, znęcał się nad swymi ofiarami bez powodu. Liczba zabitych dziennie w ten sposób wynosiła od kilkudziesięciu do ponad stu, a w pewnych okresach dużego nasilenia zabijano w ten sposób nawet ponad 300 więźniów dziennie. W sumie zabito przy pomocy śmiertelnych zastrzyków w samym *Stammlagerze* około 20 tys. więźniów. Zabijano przy pomocy zastrzyków nie tylko chorych i ludzi starych, ale także dzieci zupełnie zdrowe, które jedynie z tego powodu, że były młodociane, nie nadawały się do pracy.

Przypominam sobie taką akcję, przeprowadzoną przez komendanturę obozu w pierwszych miesiącach roku 1943. Zabito wówczas kilkudziesięciu chłopców, o ile pamiętam ok. 80, z Lubelszczyzny i różnych miejscowości polskich. Dzieci te w wieku od 10 do 14 lat przeniesiono na blok 20 i umieszczono w przygotowanej dla nich specjalnej izbie. Chciałem je wciągnąć do stanu, lecz ówczesny starszy obozu szpitalnego Niemiec Bock oświadczył mi, że dostał rozkaz, żeby się wstrzymać. Wyczułem, iż przypuszczał on, że dzieci te przeniesione zostaną gdzie indziej, względnie zwolnione z obozu. Okazało się, że przypuszczenie to było mylne, ponieważ jeszcze tego samego dnia po południu przyszedł na blok 20 drugi sanitariusz, SS-man Scherpe, wraz z Pańszczykiem wywołali chłopców do

ambulatorium i po kolei ich zaszprycowali. Była to ostatnia akcja, w której Pańszczyk brał udział. Zabijanie dzieci załamało go psychicznie i od tego czasu więcej zastrzyków nie robił, a w dwa miesiące [później] wyjechał w transport.

Dla wszystkich zabitych, a więc dla zaszpilowanych, względnie rozstrzelanych, a wreszcie zabitych na robocie więźniów numerowanych, dorabiano zawsze fikcyjną historię choroby. Na polecenie niemieckiego lekarza obozowego i według jego wskazówek historie te przygotowywali więźniowie w sekretariacie szpitalnym. Jako przyczynę śmierci wolno było wpisać jedną z kilkunastu chorób, ustalonych przez *Lagerarzta*. Najczęściej powtarzały się: *Herzschlag*, ostra niedomoga krążenia (*Kreislauf Insuffizienz*), obrzęk płuc przy osłabieniu mięśnia sercowego (*Lungenödem bei Herzmuskeldegeneration*), zapalenie płuc (*Lungenentzündung*), ogólne zakażenie (*Allgemeine Sepsis*) i różne kombinacje tych chorób. Przykładem tego są okazane mi akta w sprawie śmierci kolegów Chodorowskiego, Ullmanna, Gieszczykiewicza, Jońca, Tempki, Türschmidta, Żabickiego, Wojdalskiego, Stössla, Koziola, Kukiełki i Suchnickiego. Są to wszystko moi znajomi, koledzy z czasu pobytu w obozie. W większości pracowali oni w szpitalu. Chodorowski, Joniec, Koziół i Wojdalski wybrani zostali w czerwcu 1942 r. wraz z grupą więźniów Polaków i umieszczeni w karnej kompanii w Brzezince. SS-mani sprowokowali bunt więźniów z karnej kompanii i pod pozorem rzekomej ucieczki więźniów tych funkcjonariusze biura politycznego rozstrzelali. Byli to wszystko ludzie już z góry na śmierć upatrzeni, chodziło tylko o wyszukanie pretekstu. Miał nim być rzekomy bunt. Zginęli oni wszyscy w jednym dniu. W aktach – jak widzę obecnie – podano różne daty i różne przyczyny śmierci. W związku z tym zaznaczam, iż dla ukrycia przed światową opinią publiczną – do której przez nielegalne organizacje obozowe przeciekały wiadomości zza drutów – tego rodzaju masowych akcji więźniów zabitych w toku takich akcji rozdzielano na kilka, a nawet kilkanaście dni, w ciągu których odbijano ich od stanu więźniów. Dowodem tego znajdujące się akta czterech wyżej wymienionych kolegów, tzw. *Totenmeldunki* starszego blokowego kompanii karnej. W pismach tych nie podał on daty ani godziny śmierci. Dane te uzupełnione zostały następnie w sekretariacie datami, pod którymi rozstrzelanych odpisano od stanu więźniów.

W niedługi czas później, zdaje się w październiku 1942 r., wybrano z obozu więźniów przybyłych tam różnymi transportami, a pochodzących z Lubelszczyzny. Całą grupę wybranych, w liczbie około 200, pod pozorem, że idą do fotografii zapędzono na blok 11 i tam rozstrzelano. W grupie znajdowali się bliscy moi współpracownicy ze szpitala

obozowego pielęgniarz Leon Kukiełka i lekarz Henryk Suchnicki. Obaj rozstrzelani zostali w tym samym dniu. Jak widzę obecnie w aktach, podano również różne daty i przyczyny śmierci. Również Stefan Żabicki, Władysław Tempka i Marian Gieszczykiewicz rozstrzelani zostali na bloku 11. Wszystkich ich znałem osobiście i pracowałem z nimi w obozie. Żabicki przesłał nawet do kolegów list przedśmiertny, z prośbą o przekazanie go jego żonie.

Stwierdzam z całą stanowczością, że wszystkie historie choroby znajdujące się w okazanych mi aktach (okazano dokumenty okazane w protokole oględzin z dnia 14 września 1946 r.) są zmyślane i dorobione według przepisu niemieckiego lekarza obozowego przez sekretariat szpitalny. Procedurę tę opisałem już poprzednio. Dodaję, że więźniowie piszący choroby nie byli lekarzami i zmarłych, dla których sporządzali orzeczenie o przyczynie zgonu, nigdy nie widzieli. Mieli oni dowolność w granicach katalogu chorób podanego przez lekarza niemieckiego i komponowali z fantazji. Na skutek tego zdarzały się nieraz rażące pomyłki. Przypominam sobie, że pewnego razu sporządzili dla jakiegoś więźnia Niemca, który miał w chwili przyścia do obozu protezę lewej nogi, orzeczenie o przyczynie zgonu, w którym wpisano, iż zmarł on na nekrozę lewej kończyny. Ponieważ w sprawie tej zwróciła się do obozu jakaś niemiecka firma asekuracyjna z prośbą o wyjaśnienie, powstała awantura, którą ostatecznie załagodiliśmy w ten sposób, że odpowiednie dokumenty przerobiliśmy, wpisując w nich, że chodziło o prawą nogę.

Do końca 1943 r. kierownictwo obozu oświęcimskiego, a więc przede wszystkim Höß i jego egzekutywa, to znaczy oddział polityczny, miały z Berlina wolną rękę do mordowania według swego uznania więźniów umieszczonych w obozie. Z pełnomocnictwa tego korzystało kierownictwo obozu w szerokim zakresie, mordując więźniów przez rozstrzelanie, szpilowanie, gazowanie i indywidualne inne sposoby w obozie, na blokach i w miejscach pracy. Pod wpływem propagandy o okrucieństwach w obozach niemieckich oraz na skutek zagrożenia przez aliantów represjami, a wreszcie w nadziei na ewentualną możliwość wyłudzenia na aliantach jakiegoś pokoju, Berlin z końcem 1943 r. zakazał mordowania więźniów bez porozumienia się z centralnymi władzami. Od tego czasu wolno było mordować w Oświęcimiu tylko tych, na zamordowanie których przyszło zezwolenie Berlina. Zarządzenie dotyczyło tylko aryjczyków. Żydów numerowanych wybierano w dalszym ciągu i zabijano w komorach gazowych. Masowo mordowano również tych wszystkich, których z całej podbitej Europy zwożono do Oświęcimia na zniszczenie. Dotyczyło to w pierwszym rzędzie Żydów wszelkiej narodowości. Höß, najpierw jako komendant obozu, a następnie jako

specjalny delegat do przeprowadzenia akcji żydowskiej, przygotował potrzebne do tej akcji urządzenia techniczne. Pod jego rządami wybudowano w Oświęcimiu wszystkie krematoria i komory gazowe, a gdy urządzenia nie mogły pochłonąć wszystkich ofiar, on zarządził uruchomienie urządzeń zastępczych, a więc przeróbkę chałup wiejskich na komory gazowe i budowę specjalnych dołów do spalania zwłok. SS-mani, z którymi z racji mego stanowiska miałem styczność, oraz koledzy zatrudnieni w biurze politycznym opowiadali mi, że transporty ludzi przeznaczonych na zagazowanie (*Sondertransporte*) wysyłały rozsiane po krajach okupowanych jednostki policyjne na żądanie komendantury obozu oświęcimskiego, która żądania takie kierowała do policji w miarę tego, jak urządzenia niszczycielskie (a więc komory gazowe, krematoria i urządzenia zastępcze) ofiary te mogły pochłonąć. Sam Höß asystował na rampie przy przyjmowaniu tego rodzaju transportów, zwłaszcza gdy przybywali do obozu bogaci Żydzi, jak np. holenderscy, belgijscy. Przechodząc kiedyś z Brzezinki do obozu macierzystego, byłem świadkiem, jak Höß w otoczeniu swej żony przyjmował przybyły na rampę w Brzezince transport.

SS-mani opowiadali mi również, że gdy na wiosnę 1944 r. przybył z Lublina do Oświęcimia większy transport Polaków, Höß nie chciał ich przyjąć do obozu jako więźniów, lecz na własną rękę usiłował cały transport wygazować. Dopiero na skutek specjalnych rozkazów z centrali berlińskiej zagazowanie tego transportu nie doszło do skutku, a transport został skierowany do innego obozu.

Według założeń kierownictwa obozu i według dostarczonych przez to kierownictwo środków i stworzonych przez nie warunków, szpitale oświęcimskie dla więźniów mogły być szpitalami tylko z nazwy. Lekarze Niemcy nie wykazywali żadnego zainteresowania leczeniem chorych. Dbali oni raczej o formy zewnętrzne, o pisanie historii chorób, kreślenie krzywych gorączki itp. Z zamiłowaniem poświęcali się natomiast eksperymentowaniu na chorych i zdrowych, do czego zbiorowisko oświęcimskie dostarczało im dostatecznej liczby obiektów doświadczalnych. W obozie macierzystym blok 10 był blokiem eksperymentalnym. W Brzezince istniała osobna stacja Roentgena. Pomocniczą instytucją był zakład higieny w Rajsku. Na bloku 10 przeprowadzano eksperymenty na kobietach. Głównymi eksperymentatorami byli: Schumann, Clauberg, Weber, Wirths. Eksperymenty te ująć można w następujących grupach:

1. Badania nad skutecznością sterylizacji przy pomocy promieni Roentgena. W toku tych badań naświetlano u mężczyzn jądra, u kobiet jajniki, a następnie narządy te wycinano po

pewnym czasie, badając skutki wywołane przez naświetlanie. Eksperymenty te przeprowadzał Schumann. Używano do nich chłopców i dziewczęta w wieku około 20 lat. Eksperymenty te zagrażały bezpośrednio życiu, były bolesne i powodowały trwałe kalectwo. Okaleczono w ten sposób kilkadziesiąt osób. Zabiegi te pociągnęły za sobą kilka przypadków śmierci.

2. Profesor uniwersytetu w Królewcu Clauberg, działając w porozumieniu z niemieckim przemysłem chemicznym, wypróbował na swych pacjentkach najrozmaitsze preparaty, dostarczane przez te firmy celem wyszukania nowej masy kontrastowej do zdjęć rentgenowskich kobiecych narządów płciowych, które zastąpić mogłyby lipidol, którego brakło Niemcom. Zastrzyki te były bardzo bolesne. Ponadto Clauberg wstrzykiwał kobietom do jajowodów jakieś płyny w celu wywołania w ten sposób zapalenia, a w następstwie tego zablźnienia i zarastania trąbki, co spowodować miało niepłodność kobiet. Ściśle mówiąc, uniemożliwienie zapłodnienia. I te zabiegi były bolesne, powodowały schorzenia, w wielu wypadkach sterylne zapalenie otrzewnej. Przedmiotem obu rodzajów eksperymentów Clauberga było kilkaset kobiet. Wszystkie te zabiegi były bolesne, a poza tym kobiety, na których je wykonywano, żyły stale w obawie, że jako obciążone tajemnicą (*Geheimnisträger*) zostaną zniszczone.

3. W ścisłym porozumieniu z naczelnym lekarzem garnizonu (*Standortarzt*) Wirthsem i pod jego kierownictwem, przeprowadzał badania, mające na celu wczesne rozpoznanie raka macicy, więzień Niemiec, dr Samuel. Ponieważ Wirths wykazywał duże zainteresowanie dla tych eksperymentów, nabrałem przekonania, że chciał on na podstawie ich wyników opublikować jakąś pracę naukową. Przy zabiegach tych Samuel wycinać miał części błony śluzowej macicy. Prace te żadnego wyniku nie dały, a sam Samuel jako *Geheimnisträger* został zagazowany i spalony w krematorium w Brzezince.

4. Podchorąży Wehrmachtu (*Fahnenjunker*) Kaschub, student medycyny odkomenderowany w tym celu specjalnie do Oświęcimia przez Wehrmacht, robił tam na więźniach następujące doświadczenia: wybierał z bloków więźniów mężczyzn zdrowych, przede wszystkim o zdrowej skórze, wcierał im w kończyny różne substancje toksyczne, na skutek których powstawały zapalenia skóry z pęcherzami (często dochodzące aż do nekrozy skóry) oraz rany i owrzodzenia bardzo trudno gojące się, których leczenie trwało wiele miesięcy. Odniosłem wrażenie, że Kaschubowi chodziło przy tych eksperymentach o opisanie objawów, jakie wywołują wcierane przez niego substancje, celem uzyskania w ten sposób materiału dla demaskowania dezertersów, uchylających się od służby wojskowej.

Szef oświęcimskiego Instytutu Higieny dr Weber oraz podlegli mu SS-mani pobierali od więźniów krew. Wysłannicy Webera grasowali najczęściej po blokach szpitalnych, ponieważ inni więźniowie byli na miejscach pracy i wobec tego dla krwiobiorców niedostępni. Według polecenia Webera sanitariusze jego pobierać mieli od jednej osoby jednorazowo pół litra krwi. Ponadto skrwawiano świeżo rozstrzelanych. Po przeróbce w Instytucie Higieny używano wytworzone tam preparaty do transfuzji krwi żołnierzom niemieckim zranionym na froncie.

Z tytułu moich funkcji miałem również wgląd w sprawy kuchni. Kontrola kuchni więziennej należała do lekarza obozowego (*Lagerarzt*), a więc np. w obozie macierzystym w pewnym okresie do dr. Entressa, w innych okresach do Rhodego, Kleina, Fischera i innych. Entress w ogóle się kuchnią nie interesował. Rhode przeprowadzał kontrolę i przy tej okazji ja również mogłem wejrzeć w sprawy kuchenne, w szczególności w sprawę wyżywienia więźniów. Przy kontrolach tych pobieraliśmy próbki strawy w tym stanie, w jakim otrzymywał je więzień do spożycia. Próbkę tę przesyłaliśmy następnie do Instytutu Higieny w Rajsku, celem ustalenia ich wartości odżywczej. Opierając się na wyniku badań Instytutu Higieny oraz na podstawie moich własnych obserwacji rozróżniam dwa okresy żywienia więźniów obozu oświęcimskiego. Pierwszy, obejmujący lata 1940 – 1941, oraz drugi, trwający od 1942 r. do końca istnienia obozu. W okresie pierwszym wartość wydawanego oficjalnie pożywienia wynosiła ok. 1155 kalorii. Pożywienie takie otrzymywał każdy więzień, bez względu na stan jego zdrowia i rodzaj pracy, którą wykonywał. Posiłki wydawano więźniom trzy razy dziennie. Rano około godziny 5.30 otrzymywał więzień pół litra czarnej kawy bez cukru. Poza tym, że napój ten był ciepły, przez co nadawał się do chwilowego rozgrzania ciała, nie posiadał on – z uwagi na swój skład – żadnej wartości kalorycznej. Była to bowiem ciepła woda zabarwiona namiastką kawy. W 1941 r. wydawano więźniom na śniadanie około pół litra zupy mącznej, której wartość nie przekraczała stu kalorii. Obiad otrzymywał więzień o godzinie 12.00 w południe. Przy uwzględnieniu wyników badania Instytutu Higieny, rodzaju produktów wydawanych kuchni do przyrządzenia zupy, a wreszcie smaku i wyglądu zupy, obliczałem wartość litra tego pokarmu na około 365 kalorii. Kolację wydawano w zimie około 16.30, w lecie około 19.30. Na kolację więzień otrzymywał pół litra takiej kawy jak na śniadanie albo herbaty ziołowej, 250 g chleba i dodatki w formie kiełbasy, sera, margaryny lub marmolady. Łączna wartość kaloryczna porcji wieczornej wynosiła około 790 kalorii, a całodziennego pożywienia w tym okresie – ok. 1155 kalorii. W okresie od 1942 do końca 1944 r. śniadanie nie uległo żadnej zmianie. I w tym okresie otrzymywał więzień na obiad litr zupy o wartości 275 kalorii. Zupy pogorszyły się zatem. Na



kolację wydawano w tym okresie 250 g chleba oraz dodatek tłuszczowy, względnie mięsny, o wartości 830 kalorii. Łączna wartość pożywienia w tym drugim okresie wynosiła zatem dla więźniów, niezaliczonych do ciężko pracujących, niewiele ponad 1100 kalorii. Więźniowie ciężko pracujący otrzymywali tzw. dodatki w postaci wydzielanej dwa razy w tygodniu porcji chleba i tłuszczu. Wartość tych dodatków wynosiła w przeliczeniu ok. 450 kalorii dziennie. Zaznaczam, iż były to wszystko porcje, które więzień powinien był otrzymywać. Dość często zdarzało się jednak, że więźniowie w ogóle pożywienia nie otrzymywali. Była to kara za drobne przewinienia obozowe. Karę tę stosowano nie tylko względem pojedynczych osób, ale w wielu wypadkach także względem wszystkich więźniów danego bloku. Przepisanej ilości pożywienia więzień w rzeczywistości nigdy nie otrzymywał z powodu kradzieży popełnianych przez SS-manów, którzy z tytułu swych funkcji nadzorczych mieli dostęp do produktów przeznaczonych dla więźniów, przez inne władze obozowe oraz niesumiennej więźniów funkcyjnych. Przewidziane oficjalnie, a w szczególności wydawane faktycznie pożywienie, absolutnie nie wystarczało do utrzymania więźniów w stanie zdrowia. Więźniowie głodowali i 70 proc. śmiertelności obozowej przypisać należy charłactwu głodowemu. Głodni wybierali odpadki ze śmietników i gnoju, zjadali je, na skutek czego zapadali na choroby przewodu pokarmowego. Znane mi są wypadki, że wygłodzeni więźniowie pozwalali sobie wybijać z ust złote zęby przez kapów Niemców za kromkę chleba. W jednym wypadku wygłodzony jeniec rosyjski porwał z laboratorium szpitalnego wątrobę ludzką. Gdy zwrócono mu uwagę, że jest to wątroba ludzka, uciekł ze swym łupem i w pośpiechu ją zjadł.

Jeńcy rosyjscy, których przewinęło się przez obóz około 12 tys., żywieni byli jeszcze gorzej. Większość z nich została zagłodzona na śmierć. Nadmieniam, że człowiek pracujący tak ciężko i w takich warunkach, jak pracować musieli więźniowie obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, powinien otrzymywać dziennie dla utrzymania organizmu w stanie równowagi od 3,5 tys. do 4 tys. kalorii. Pożywienie otrzymywane przez więźniów oświęcimskich było zatem niewystarczające i według moich obserwacji już po dwóch miesiącach prowadziło do choroby głodowej u ludzi, którzy przybyli do obozu zdrowi i dobrze odżywieni. To niewystarczające pożywienie wydawano więźniom oświęcimskim bez względu na pogodę, a więc nie brano nigdy pod uwagę ani temperatury, ani też wilgotności powietrza. Jeśli się zważy, że więźniowie mieszkali w warunkach urągających najprymitywniejszym wymogom sanitarnym, że na jednego więźnia przypadało około trzy metry sześciennie izby, w której spędzał noc, to zrozumie się żniwo, jakie zbierała śmierć w tym obozie. Zdrowie psychiczne



więźniów rujnowała stała niepewność losu i najbliższej przyszłości oraz brutalny terror, którym starano się utrzymać to olbrzymie zbiorowisko ludzi w ryzach.

Odczytano. Na tym czynność i protokół niniejszy zakończono.